№ 37.

Warszawa, dnia 10 Września 1864 r.

TYGODNIK MOD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW GUY DE FAUR

DZIEDZICA NA PYBRAC.

(Dalszy ciąg)

Po ukończeniu tajemnéj narady w cichości wydano rozporządzenia i gdy według umówionego hasła, w nocy Ś. Bartłomieja dnia 24 Sierpnia 1572 roku dał się słyszeć ponury głos dzwonu, pod przewództwem księcia Gwizjusza poruszyły się zbrojne tłumy i rozpoczęła się straszliwa rzeź hugonotów i nie hugonotów, bo i namiętności prywatne niepospolitą odgrywały rolę. Najpierwszy padł admirał Gaspar de Coligny; Karol IX przez całą noc najspokojniéj przysłuchiwał się oddalonéj wrzawie, a gdy nadszedł ranek wydał surowy rozkaz wstrzymania dalszéj rzezi i rabunku. Ale sprzeciwiła się temu Katarzyna, lękająca się aby lud rozgniewany nie okrzyknął królem księcia Gwizjusza, którego zarówno lękała się jak nienawidziła. Rzeź więc rozszerzała się i na prowincji z przerażającą szybkością, a nienawiść i zemsta okrywały się płaszczem legalności.

Poseł francuzki w Rzymie kardynał de Lorraine, gońcowi, który mu przywiózł wiadomość o wypadkach nocy Ś. Bartłomieja, w uniesieniu radości darował sto sztuk złota: inne znakomitości obchodziły ten wypadek przez uroczystości jako tryumf religji. Ucieszono się również w Madrycie a Wenecja przesłała królowi Karolowi IX urzędowe powinszowanie. Pomimo jednak tak poniżającéj radości, rzeź hugonotów rzeczywistéj korzyści dla dworu przyniosła nader mało, bo wkrótce uchronieni od zabójczego żelaza, obwarowali się w twierdzach i rozpoczęła się czwarta wojna domowa jeszcze zawziętsza jak poprzedzające. Obwarowana Roszella, stanowiła główne stanowisko hugonotów, ją więc przedewszystkiem postanowiono zdobyć i dokonanie tego oddano bratu królewskiemu Henrykowi księciu Andegaweńskiemu. Dziewięć szturmów przypuszczono bezskutecznie, kobiéty razem z mężczyznami występowały do boju, i już poraz dziesiąty przygotowano się do obrony, kiedy na-

doszła wiadomość o obiorze Henryka na tron Polski. Uradowany Karol IX, że się pozbędzie nienawistnego mu brata, którego lękał się aby przy intrygach matki nie wyzuł go z władzy, chętnie przystąpił do zgody z hugonotami i ogłosił uroczyście wolność wyznania w całéj Francji. Brata zaś Henryka przynaglał do jak najprędszego wyjazdu i wybranemu wreście w drogę, dodał do rady między innemi Pybraca, o którego pamiętnikach na początku wspomnieliśmy.

W kilka miesięcy po objęciu rządów przez Henryka, przyszła wiadomość do nowego króla, że hugonoci wzmocnieni związkiem króla Nawarry i innych panów przeciwnych dworowi francuzkiemu, pod przewództwem trzeciego brata królewskiego księcia d'Alençon, dumnego a małych zdolności umysłowych młodzieńca, nową wzniecili wojnę, i że król Karol IX zgryzotą sumienia doprowadzony prawie do szaleństwa, prześladowany jakiemiś widmami i dręczony sączeniem się krwi własnéj przez wszystkie pory, umarł w dwudziestym czwartym roku życia i przyszłe władztwo Francji zostawił bratu Henrykowi. Czy matka Katarzyna de Medicis nie przyspieszyła zgonu syna swego, tego historja nie wyjaśnia, jest tylko rzeczą pewną, że do niechętnie wyjeżdżającego Henryka do Polski, rzekła:

— „Nie smuć się, bo nie długo będziesz gościł między cudzoziemcami."

Król dowiedziawszy się o tak pomyślnéj dla siebie nowinie, złożył radę z przybocznemi sobie francuzami, a Pybrac w ten sposób przemówił:

— „Nie trzeba tu uważać co o nas świat powie. Jak bowiem w związkach pokrewieństwa i przyjaźni, tak w politycznych stosunkach, to co korzystniejsze, przekładać należy. Francja, jako rodzinna ziemia króla, nad Polską pierwszeństwo mieć powinna, trzeba więc spieszyć do Francji skoro do nas ręce wyciąga. Skoro bowiem tam dowiedzą się że król z Polski wyjechał, sama wiadomość ta odejmie ducha wszystkim burzycielom spokojności publicznéj. Gdyby zaś tu król pozostał a zawichrzyła się Francja, pytam, jakby długo Polska mogła być spokojną? Jeżeli zaś król wyjedzie, obydwa państwa w pokoju pozostaną. Zapewnić tylko trzeba Polaków, iż oddalenie króla żadnéj im nie przyniesie straty, że skoro stanie we Francji, a nawet we Włoszech, wyśle do nich poselstwo, z dogodnym przepisem, jak rządy w nieobecności sprawowane być mają. Dlatego i chwili czasu tracić nie należy, a tajemnicę największą zachować potrzeba rzecz bowiem cała w tenczas dobrą się stanie, kiedy się już wykona."

Król Henryk oprócz téj tajemnéj narady, wezwał także dygnitarzy koronnych na radę, lecz ich dowodzenie, że winien zwołać sejm i od niego zażądać pozwolenia wyjazdu do Francji zdało mu się niepraktycznem. W cichości więc w nocy dnia 17 Czerwca 1574 roku, naprzód wyjechał Pybrac za miasto, i zatrzymał się w małéj przy drodze stojącéj opustoszonéj kapliczce, naznaczonéj przez wszystkich przypuszczonych do tajemnicy, za punkt głównego zebrania się.

Noc dnia tego nadzwyczaj była ciemną, księżyc zupełnie nie świecił i o parę kroków niemal żadnego przedmiotu nie można było rozróżnić. Pybrac od kilku godzin stojący na czatach, lękając się pogoni, tamując prawie oddech, kręcił się niecierpliwie, nadsłuchiwał, przykładał ucho do ziemi, ale go tylko dochodził z powiewem wiatru, niewyraźny gwar, który podniesiona wyobraźnia, przemieniała w głosy sztraszliwéj trwogi. Nagle dał się słyszeć tętent koni biegnących po twardéj drodze; kiedy jezdcy zbliżyli się, Pybrac poznał króla Henryka i nie bałamucąc ani chwilki, dosiadł konia i w towarzystwie dwóch tylko dworzan udali się dalej pospiesznie w drogę. Pośpiech ten był konieczny, wieść bowiem o wyjeździe króla rozniosła się niezmiernie szybko, i gdy w stolicy domyślano się zamierzonéj ucieczki, w okolicy, miano ją za fakt spełniony, i mówiono o niéj jako o rzeczy dokonanéj. W biegu więc koniom nie folgowano, i kiedy po upływie pewnego czasu już sądzili się być bezpiecznemi, nagle usłyszano tętnienie jezdnych szybko za niemi posuwających się. Przewidując niebezpieczeństwo a lękając się aby jadąc w cztery osób nie obudzili podejrzenia, Pybrac poradził królowi Henrykowi, ady sam udał się przodem, gdy jeden z dworzan pojedzie wprost ku jadącym i starając się zabawić ich jakimkolwiek sposobem, zatrzyma w miejscu. Sam zaś Pybrac z drugim dworzanem posuwał się daléj, ale gdy król Henryk na szczęście swoje i kraju, któremu miał panować, przemknął się szczęśliwie przez manowce i przebył granice, Pybrac zabłąkał się pomiędzy krzyżującemi się drogami i gdy świtać zaczęło, ujrzał się wpośród błot i dzikich zarośli, a co gorsza w obec kilku wieśniaków, którzy z powierzchowności to jest z miny i z czupryny, poznawszy w podróżnikach Francuzów, zaczęli krzyczéć dosyć nieprzyjaźnie i zwoływać w pomoc sąsiadów. Na głos trwogi, zewsząd zaczęły się zbiegać tłumy wieśniaków uzbrojonych w kije; krzyki, wrzaski, przekleństwa podnoszą się ze wszystkich stron, jedni wrzeszczą że widzieli Francuzów, drudzy że samego króla, Pybrac kieruje się ku drodze, ale wpada w coraz głębsze bagna, koń po szyje nurza się w błocie, wreszcie zgraja

dopada dworzanina i rozzłoszczona obroną, kładzie go na miejscu trupem. Pybrac przerażony coraz groźniejszém niebezpieczeństwem, widząc że koń więcéj mu szkodzi jak pomaga zeskakuje z niego, i pieszo brnąc po kolana, dopada gęstwiny leśnéj i kryje się w jéj cieniu. Ale wkrótce tłumy uzbrojone w dzidy, drągi, proce i łuki rzucają się za uciekającym, okrążają las i bagno i poblískie drogi, zaczynają wyrzucać kamienie, strzały, kłuć dzidami, bić drągami, Pybrac więc widząc że się niebezpieczeństwo niezmiernie powiększa, i że w krótce dostać się może w ręce rozżartego ludu, zanurza się w błocie po samą szyję i często w nim daje nurka ile razy pociski szukających blisko niego padały.

Poszukiwania te trwały dzień cały, i przez dzień cały Pybrac o głodzie przesiedział w błocie po uszy. Gdy z nadejściem nocy, zmordowani wieśniacy, oddalili się do domów, ścigany z taką zawziętością, usłyszawszy zupełną cichość, zaledwie wygramolił się z bagna zostawiając w niem pończochy i buty. Z gołą głową bo czapkę w ucieczce utracił, bosy, zababrany, zapaćkany, utrudzony, i głodny Pybrac szedł przez gęste zarośle, w pośród nadzwyczajnéj ciemności, trwożąc się najmniejszym szelestem liści, lub furczeniem skrzydeł spłoszonego ptaka. Gwiazdy tylko tu i owdzie pokazujące się pomiędzy zasianemi na niebie chmurami, mając za przewodnika, przeciskał się przez ciernie i kolące krzewy; co chwila zatrzymując się, nadsłuchiwał i znowu szedł daléj a zawsze ku zachodowi bo wiedział że w téj stronie znajduje się Francja. Wreszcie po całonocnym marszu, częstem utykaniu po kamieniach, podrapany, poobrywany, ledwie trzymający się na nogach, w świtanie nad ranem stanął nad jakąś bystrą płynącą rzeką, i choć nie znał jéj głębokości, postanowił ją w bród przebyć. W tenczas dopiero, powiada autor pamiętników, podniosłem oczy do nieba i ze łzami zacząłem wzywać wsparcia Przedwiecznego. Z tych słów jasno się pokazuje że z panem Pybracem musiało być strasznie kuso, niedowiarek jak każdy ówczasowy dworak, ostatniego ratunku szukał w Bogu i modlitwie.

Po modlitwie oderwawszy gałąź od drzewa, wchodzi w rzekę, z trudnością stąpa po dnie śliskiem i najeżonem krzewistemi kamieniami, bystry prąd rzeki wywraca go po parę razy, nawet raz zupełnie zanurza, ale Pybrac przezwycięża to wszystko, ostatniemi siłami dobija do brzegu, opiera się na gałęzi, i chwytając się dzikich roślin, wyskakuje na brzeg tak upragniony.

Wysuszywszy suknie poszarpane na słońcu, długo rozpatrując się w okolicy, postrzegł wreszcie w oddaleniu jakąś ubogą lepiankę. Nie zastanawiając się nad następstwami pragnąc tylko spocząć i pożywić się, Pybrac zaraz udał się w drogę i wszedłszy do wnętrza zastał, kilku włościan, nieprzyjemnego jak powiadał wejrzenia. Ci zobaczywszy człowieka prawie nagiego, nie mówiącego nic po polsku, najprzód zaczęli się wyśmiewać, a gdy Pybrac odpowiedział na strofowanie odgróżką, rozgniewani, uczęstowali go porządną porcją kułaków. Na szczęście, stara kobiéta, widać właściwa gospodyni w chacie, zdjęta litością, uspokoiła rozłoszczonych włościan, i zaprówadziwszy Pybraca pod strych, przyniosła mu wszystko co miała najlepszego, to jest piwa i razowego chleba. Dla rozpieszczonego zbytkiem dworaka, były to potrawy nie nader ponętne, ale głód najlepszy kucharz, i Pybrac, zjadł chléb do ostatniéj kruszynki, i wypił piwo do ostatniéj kropelki, rozpamiętując zapewne zbytki dworu francuzkiego i wykwintną zbytkowną kuchnię króla Henryka.

O północy, ocknąwszy się ze snu i usłyszawszy że wszyscy śpią w chałupie, wyszedł z niéj cichaczem, i znowu na bosaka przedzierał się lasem aż do dnia białego. Wyszedłszy na pole, ujrzał z wielką radością jadącą gościńcem karetę, która na dawane sobie znaki zatrzymała się. Podróżnym owym był sędziwy Karukowski, referendarz koronny i do tego osobisty przyjaciel Pybraca. Dążył on spiesznie ku granicy królestwa, gdzie się wielu już innych senatorów udało, a gdy zdziwiony tak niespodziewaném spotkaniem, powiedział że król Henryk według ostatnich doniesień już bezpieczny zupełnie znajduje się w Morawji, Pybrac rozpłakał się, zapewne z zazdrości, że nie on w téj chwili miejsce króla zajmuje, boć o rzeczywistą czułość podobnych dworaków niepodobna posądzać.

Dalsza więc podróż przedstawiła się Pybracowi w przyjemniejszéj barwie, bo karetą osobistego przyjaciela, ale przygody nie miały się jeszcze ukończyć.

(d. c. n.)

---

* * *

Od pewnego czasu Warszawa w zimnéj i słotnéj żyje atmosferze, często klapiąc się w błocie jak podczas jesieni. To też nie zważając na Sierpień i Wrzesień lud wiejski w większéj części na targi przybywa w kożuchach, Warszawianki kulą się, Warszawiacy otulają, wiślane łazienki smu-

tnieją, a drwale uśmiechają, przewidując zarobek. W tych dniach widziałem dorożkarza rozgrzewającego ręce przez uderzanie jak podczas najtęższych mrozów: spotkałem zaś kilku mężczyzn starszych w szopach, panienki ze zgrabiałemi rączkami, kawalerów z sinemi nosami, a niektórych chudo wysmukłych paniczów szczękających zębami i w cichościzł orzeczących fałszywemu wstydowi co im nie dozwal ałodziać się w puszyste niedźwiedzie. Jesteśmy więc jakby w jesiennym przedsionku zimy, wyglądając co chwila śniegu, sanny i trzasku kominkowego ognia. Gdyby jednak ta niezwykła zimnica, mogła homeopatycznym sposobem rozgrzać niektóre zlodowaciałe serca, a naturalnym wymrozić pychę zadzieraczy nosowych, wierzącym że świat za mały dla ich wielkości, ludzie karły, a oni potęgi dzwigające na swoich barkach całą społeczność.... jakże byłbym jéj wdzięczny i obowiązany.

Żale na tę nędzotę serca ludzkiego, stara to jak świat piosnka, a jednak rzecz dziwna, chwast ten potworny, uporczywie trzymając się gruntu, wiecznie pozostaje chwastem, i czasami kiedy najmniéj spodziewany, kiedy zdaje się że przed wytryskującemi promieniami przewodnéj myśli, powinien upaść w prochu, wyrasta w olbrzyma, pnąc się coraz ku górze.

Zawodów upragnionéj sławy i spodziewanego rozgłosu, historja dosyć mieści na swych niezatartych kartach. Raz Cycero podczas kwestury w Lilibeum w Sycylji, wyobrażał sobie że w Rzymie o niczem innem nie mówią tylko o szlachetnem jego postępowaniu, o opiece udzielanéj handlowi, o sprawiedliwości bezinteresowności i o innych pięknych czynach, jakiemi zasłynął w czasie trwania swego urzędowania. Wracając zatem był przekonany, że cały Rzym brzmi tylko pochwalnemi hymnami dla niego, o nim wszyscy myślą, mówią i zapewne w tajemnicy przygotowują podziękowanie i nagrodę, za prace i poświęcenie dla dobra i sławy ojczyzny podjęte. Świat więc mając pod nogami a głowę w obłokach, po drodze zatrzymał się w Puzzoulach, rojących się zwykle w owéj porze najwykwintniejszem towarzystwem Rzymu, pewny że przy pierwszem spotkaniu ze znajomemi zasypany zostanie uwielbieniem, pochwałami i grzmotem oklasków dalekiém echem opowiadających całéj Italji o zasłudze jego jako obywatela kraju. Ale niestety! piérwszy którego spotkał Cycero, powitał go z jak najobojętniejszą miną i zapomniawszy zupełnie, że sławny ten mówca znajdował się na kwesturze w Lilibeum i sądząc że przyjeżdża ze stolicy zapytał:

— „Przyjeżdżasz z Rzymu, cóż tam słychać nowego?

Cycero zmięszał się, głowę z obłoków nachylił ku ziemi, i odrzekł cierpko:

— „Wracam z prowincji, nic więc nie wiem co się w Rzymie dzieje."

— „Z prowincji? nie wiedziałem że wyjeżdżałeś" odrzekł znajomy, „zapewne jedziesz z Afryki?"

— „Nie! powracam z Sycylji.

— „Z Sycylji? a tam co robiłeś?

W tem nadszedł ktoś trzeci i ułyszawszy zapytanie, a chcąc się okazać świadomszym rzeczy odezwał się:

— „Ej! pytasz się jak gdybyś nie wiedział, że był kwestorem w Syrakuzach."

— „Nie w Syrakuzach ale w Lilibeum" odrzekł Cycero i porzucił z niechęcią ludzi co tak bolesną ranę zadali jego miłości własnéj. Późniéj jednak śmiał się sam z siebie a choć go minęło zaszczytne przyjęcie, podziękowania i nagrody spodziewane, ale zadowolenie własnego sumienia, zapłaciło mu sowicie za wszystko.

Ale i to stara piosnka. Sława.... ach! nie mówcie mi więcéj o téj pogańskiéj kokietce, z szatańskim uśmiechem wabiącéj ku sobie najszlachetniejsze serca, boskie poświęcenia i zaparcie samego siebie. Sława! śliczny to wyraz, niezmiernie milutkim szmerem szeleszczący w uszach synów ziemi, i wabiący ich ku sobie z wdziękiem Rusałek pogańskiéj Litwy, na nicość i zatracenie. Sława to przeciw stawienie boskiéj nauki Chrystusa, to ów budynek ewangieliczny na piasku, wznoszony często w jednéj chwili, a zawsze powodzią czasu idący w zatracenie.

Onego czasu, była sławną Kartagina i groźną nawet dla Rzymu: Troja słynęła na świat cały, a oba miasta roiły się mędrcami, genjuszami, talentami, którzy dla sławy i błyszczenia między ziomkami, nie wymawiali się zapewne od największych ofiar, aby tylko zwrócić oczy wszystkich na siebie, zyskać poklask, i żyć wiecznie w pamięci potomności. A wiecie co się stało już nie z niemi, ale z całą Kartaginą i Troją? Oto zaginęła nawet świadomość miejsca, na których stały niegdyś te dwa wielkie dumne i bogate grody: nie zostało z nich ani jednéj cegiełki, ani jednego kamyka, a gdy wreszcie co do Troi chciano sprawdzić domysły naukowe, to niedawno czterdziestu robotników dopiéro po trzy tygodniowéj ciągłéj pracy natrafili pod warstwą trzynasto stopową piasku, na mur olbrzymich rozmiarów, stanowiący obwód jakiegoś zamku, zasypany szczątkami figur glinianych, ozdób, lamp, skarbów pieniężnych i innych podobnych rupieci.

Cezar w komentarzach swoich często wspomina o mieście Rotomagum, oddalonego od Londynu o mil dziesięć, jak się domyślać można z tych wzmianek niepospolitego zapewne znaczenia. Ręką czasu wyrwane ze swego stanowiska jak krzew z grzędy ogrodowéj, zaginęło zupełnie z pamięci ludzkiéj, i w naszych czasach zawiązane towarzystwo Rotomagistów, po długoletnich poszukiwaniach, w tym roku podobno natrafiło na jego ślady i wydało opis rezultatu mozolnéj i kosztownéj swéj pracy. Niedawno w okolicy Kairu, poczciwy koń nogą wygrzebał w piasku grób znanego jenerała napoleońskiego Sułkowskiego, a w Ameryce ze znalezionéj w ziemi broni i różnych narzędzi, powzięto zupełnie uzasadnione przekonanie że tam jeszcze przed przybyciem Kolumba, na lat wiele a zapewne i wieków znajdowała się jakaś cywilizacyjna społeczność napływowa, o któréj nawet i wieść między krajowcami zaginęła.

Jeżeli więc w powodzi czasu zникną, sławne grody a nawet całe społeczeństwa, zamazują się w pamięci imiona sławnych ludzi, cóż dopiéro powiedzieć o owych pyszałkach opiérających się tylko na herbie lub złocie, i karłowatym duchem, wspinających się na paluszki swéj nicości, aby choć nosem wybiedz po nad poziom społeczny? Biedacy! jakże śmieszni i mali w swych akrobatyczno-błazeńskich podskokach!

Podobno przemysł wyrabia już kołnierzyki, mankietki, koronki, a nawet całe materje na suknie kobiét z żelaznego drutu, tak cienkiego jak najdelikatniejsza przędza bawełniana. Tryumf to wielki dla jego przyszłości, ale gdyby wynalazł obrączki ściskające rozum ludzki, żeby nie marnując się na niedorzeczne zabiegi pychy, i oddał go pod straż pokory chrześcjańskiéj, uczącéj miłosci, braterstwa, poświęcenia i trzymania na wodzy miłości własnéj, jakżebym mu szczerze przyklasnął....

Kończąc tę miłą zawsze dla mnie z Wami rozmowę, muszę Was przeprosić za roztargnienie korrektora, który w ostatnim numerze Tygodnika, puścił bez poprawy artykuł o Janie Śniadeckim. Dziwolągów wszystkich jakie się z tąd potworzyły nie podobna powtarzać, są między niemi i dosyć zabawne np. *losy obrotne* zamiast *okrótne*, i dzielenie *nosa* między obserwatorjum i obowiązki publiczne zamiast *losu*. Wprawdzie los porządnie obraca ludźmi, a za nos wodzą astronomów i nie astronomów, może się więc dzielić między obserwatorjum i obowiązki publiczne jeżeli go do tego silna zmusi ręka, zawsze jednak dla nas mężczyzn nie miła to kwestja, bez poprawy więc pokiereszowanego błędami artykuliku, nie czytajcie, ani Waszym ojcom, mężom, braciom, a tym bardziéj... młodzieży aspirującéj o serduszka panieńskie.

KRONIKA ARTYSTYCZNA.

GRAŻYNA,

z rysunkami Antoniego Zalewskiego.

Karta tytułowa przedstawia Grażynę na koniu z sajdakiem i łukiem w ręku, podług słów wielkiego poety:

Często myśliwa na żmudzkim rumaku,
W szorstkim ze skóry niedźwiedziéj kirysie,
Spiąwszy na czole białe szpony rysie,
Pośród strzelczego hasała orszaku.

Po jednéj jéj stronie stoi krzyżak w pełnéj zbroi wsparty na mieczu, z drugiéj Litwin oparty na łuku.

W samym tekscie, piérwszy rysunek przedstawia Grażynę kiedy wpadłszy w głęboką zadumę:

Stanęła, milczy, przymkniona powieka,
Czoło pochyłe, w którém się przebija
Jakaś myśl jeszcze ciemna i daleka.

W drugim przebrana księżna w zbroje męża, z zakrytą twarzą zstępuje z krużganku w orszaku zbrojnych. Rumak osiodłany czeka w pogotowiu. W trzecim, wśród morderczéj walki Litwy z krzyżakami, ukazuje się bohaterska w znanéj zbroi. Wszyscy pewni że to waleczny Litawor:

Ku niemu wszystkich podnoszą się oczy,
Stoi na koniu....

W czwartym, Grażynę ranną unoszą z pola, „Samotrzeć pędzą z bojowiska."

Jak widziémy z tego, nie wszystkie wydatne miejsca tego poematu, artysta wziął pod ołówek. Jest ich daleko więcéj, ale uwzględniono koszt rytowania i wydawnictwa. Cena pomimo tego jest niesłychanie wysoka, egzemplarz bowiem w księgarniach naszych kosztuje Złp. 48. Wydawca widać nie zbadał gruntownie tego ważnego przedmiotu, kto u nas kupuje książki? Liczył snać na najzamożniejszą warstwę naszéj społeczności i w tém się omylił. Tacy u nas nie kupują, bo ich literatura ojczysta wcale nie obchodzi. Tysiące wyrzucą na fraszki, na zbytek i okazałość, ale stu złotych nie poświęcą na polską książkę, lubo nie

pożałują tysiąca na kupno romansów francuzkich i illustracji zagranicznych. Średnia klassa w ciężkim pocie czoła pracująca, ta tylko kupuje, i jak z wielu lat statystyka księgarska nas naucza, na nią jedynie można liczyć w królestwie od 200 do 300 egzemplarzy, każdego ważniejszego dzieła. Obecnie zmniejszyła się i ta liczba, a dla téj warstwy stale kupujących polskie dzieła, potrzeba aby każdy wydawca uwzględnił cenę, tém bardziéj, przy coraz większym braku pieniędzy, a kosztowniejszych potrzebach życia.... Tam gdzie najpiérwsza z rodu czy bogactwa, lub stanowiska swego, warstwa społeczna, w poczuciu obywatelskiém, podpiera chętnie własną literaturę, ceny wysokie książek utrzymywać się mogą, ale, że użyjemy słów J. B. Zalewskiego: U nas inaczéj! inaczéj!

(*Bibl. War.*)

Grób poety, Alfreda de Musset.

O drodzy moi, kiedy zamknę oczy,
Zatknijcie wierzbę, nad mą senną głową,
Niech w długie sploty mogiłę otoczy....
Lubię ich kształty, i barwę ich płową.
Niech cień jéj osłoni zielony
Grób w którym spocznę, śpiewak uznojony.

Słowa te wyczytać można na skromnym grobowcu, w śród cmentarza Paryzkiego *Père La Chaise*, ocienionym zieloną wierzbą, zasadzoną ręką przyjaciół. Wiersze powyżéj przytoczone w przekładzie utworu samego Alfreda de Musset zmarłego niedawno poety francuzkiego wyryte są na grobowym jego kamieniu. W tych dniach obok téj wierzby, zasadzono drugą, sprowadzoną, z przeciwnéj półkuli ziemskiéj, w dowód szczególnéj czci ku zmarłemu.

Znany poeta Amerykański z Buenos Ayres, półkownik Hilario Ascasubi, bawiąc w roku zeszłym w Paryżu, odwiedził grób nieodżałowanego brata swego w pieśni, i wyczytawszy napis, poprzysiągł na tymże grobie, że sprowadzi z Rio la Plata, drugą wierzbę, aby ostatnia wola zmarłego podwakroć została dopełnioną.

Uczyniwszy taki ślub, poeta Amerykański powrócił do kraju, skąd przybył znów do Paryża, i przywiózł z sobą prześliczną wierzbę wzrosłą pod słońcem zwrotnikowem.

Zacząwszy od kapitana statku aż do majtków, cała załoga okrętowa, oceniając piękną myśl podróżnego poety, pielęgnowała drzewo z nieporównanym staraniem i troskliwością. Przez ciąg długiéj podróży, wierzba była głównym celem pielęgnowania, przebyła téż Ocean bez najmniejszéj szkody, i dziś posadzona bratnią ręką na grobie, ocienia go uroczo, a w miarę rozrostu, stanie się prawdziwą ozdobą cmentarza. Jakże to wymowny dowód, że i dziś w wieku chłodu i samolubstwa, są jeszcze serca pełne szlachetnego zapału, umiejące uczcić prawdziwą zasługę, i okazać ją w piękny i delikatny sposób.

Korespondencja z Paryża.

Paryż d. 1 Września 1864 r.

Od kilku dni, miejsce skwarów letnich, zastąpił chłodny wiatr zapowiadający wyraźnie jesień. Natychmiast téż w oknach sklepów tutejszych ukazały się ciepłe okrywki i paletoty. Najwięcéj uważaliśmy wielkich rotond flanelkowych na wacie, podszytych marseliną, z kapturkiem okragłym. Jedne z nich zupełnie gładkie, w kolorze hawanna, fijołkowym lub popielatym, inne w kratę w dwóch kolorach np. fijołkowy z czarnym, pąsowy z czarnym i t. p.

Uważaliśmy także krótkie paletociki flanelkowe w paski białe z fijołkowym albo pąsowe z czarnym, szerokie nie wcięte do stanu, z okrągłym przymarszczanym kapturkiem, przeznaczone wyłącznie na wieś lub do kąpieli morskich na chłodne teraźniejsze wieczory.

W zwyczajnych paletotach na ulicę, zaszły niejakie odmiany, zasługujące na wzmiankę. Robią je z ciepłéj a nadzwyczaj lekkiéj flaneli z długim włosem, zwanéj *moulten*. Plecy u nich bez żadnego wcięcia, przody cokolwiek krótsze niż zaokrąglone po bokach, w koło nie ma żadnego obłożenia, tylko po prostu obrąbek parę razy przestębnowany jedwabiem. U szyi paletot spina się na jeden wypukły guzik wielkości dużego orzecha, z konchy lub kokosu. Po bokach idą okrągłe kieszenie, w górze kołnierzyk wyłożony i zaokrąglony. Rękawy średniéj szerokości ścięte do łokcia, zwężone u ręki, nie mają żadnego mankieta ani guzików.

Do pokoju noszą krótkie kaftaniki czyli westki, czarne *poult de soie,* zakończone w tyle zębem, z przodami podciętemi okrągło. W koło obszywają je grelotkami lub inną pasmanterją, u szyi spinają na guzik. Pod spód idzie koszulka musz-

linowa lub fularowa, przyciśnięta pasem szwajcarskim, ozdobionym także pasmanterją, od tego pasa spadają z tyłu dwa pukle z szerokiéj wstążki, opuszczone na dół, z pod tych zaś dwie szarfy z frendzlą. Pukle te tworzą jakby baskinę i zdaleka nadają kaftanikowi kształt fraczka ale zgrabniéj i mniéj przesadnie wyglądają. Uważaliśmy takie staniki na młodych dwunastoletnich panienkach, takie same jak spódniczka, wówczas i szarfa może być z tego samego materjału, obszyta w około wstążeczką.

Wyroby na suknie jesienne zaczynają się już pokazywać. Oprócz materji jedwabnych, uważaliśmy tkaniny z wełny i jedwabiu, w rodzaju popeliny, w jednostajnym kolorze: hawanna, popielatym, fijołkowym i szafirowym. Niektóre mają po wierzchu kratę białą i czarną, nadzwyczaj delikatną. Z sukien tego rodzaju widzieliśmy gładką hawanna, z trzema u dołu plisami z materji, w ciemniejszym kolorze. Stanik z baskiną nafałdowaną i niezbyt długą obszyty był takiemiż plisami. Z przodu gładki był zamknięty i spięty na jedwabne guziki z rozchodzącym się bawetem. Po każdéj stronie od połowy stanika do dołu, dane były trzy pliski połączone u pasa poprzeczną pliską. Rękawy ścięte do łokcia, miały odpowiedni mankiet i epolecik.

W czesaniu włosów zaszły małe odmiany, warte zapisania. Zamiast gładkich koków robią je z plecionego warkocza, pokryte zawsze niewidzialną siateczką. Kto ma wielkie włosy, może ułożyć z nich węzeł, spadający na tył głowy, ale nie tak nisko jak w roku zeszłym i przytwierdzić w górze grzebieniem. Osoby nie mające dostatecznych włosów, wpinają koki, złożone z trzech krótkich warkoczy, spadających na dół od grzebienia, i podwiniętych w górę. Grzebienie noszą z wąską ławką i trzema medaljonami z gładkiego szyldkretu. U innych ławka tworzy płaską kokardę. Po bokach wpinają wielkie dwie śpilki ze złotemi gałkami. Do mniejszego ubrania gałki mogą być czarne, wyrabiane w złote maleńkie gwiazdeczki. Włosy z przodu układają zwyczajnie w dwa krótkie nioby spuszczone cokolwiek na czoło, karbowane zwykle na śpilkach; część włosów od skroni, podniesiona w górę tworzy drugie odwrócone nioby: krepowane podkładki z włosów na grzebykach podkładają się pod jedne i pod drugie. Niektóre osoby noszą także nad czołem fryzowany tupecik z drobnych loczków. W ogólności do niobów karbowanych, używają tu pudru, blond lub ciemnego stosownie do koloru włosów, wielkie elegantki posypują włosy złotym lub srebrnym pudrem lecz nie zalecamy téj przesadnéj i nienaturalnéj mody, gdy tym czasem puder koloru włosów, ładnie im odpowiada, i zdaje się powiększać ich objętość.

Siatki używają ciągłéj wziętości noszą je rozmaite. Panienki używają cieniuchnych niewidzialnych. Panie przybierają je diademem z wąskiéj aksamitki, tegoż samego koloru jak siatka. Niektóre przerabiane są całe stalowemi lub białemi perłami. Długie wstążeczki spadające z tyłu od siatki, przewiązują się z wierzchu przez koki z włosów.

Do okrycia głowy na ulicę wieczorem, używane lekkie kapturki z tybetu, z zębem zachodzącym na czoło, obszyte ruszą wystrzyganą w maszynie. Od kapturka spada w około pelerynka w kształcie chusteczki. Kapturek taki bez waty, ma zwykle marselinową podszewkę. Flanelkowe gładkie robią bez żadnéj podszewki, gdyż są same z siebie sztywniejsze.

Paski szerokie przeszło na pół ćwierci łokcia, spięte na szeroką klamrę stalową, oksydowaną, lub złotą, upowszechniły się bardzo. Noszą je zwykle koloru sukni.

SZARADA.

Pierwsze drugie co powóz bez niego nie jedzie,
Nie jednemu przynosi nieraz pomoc w biedzie,
U Polaka jest pląsem i miastem zarazem.
Trzecie czwarte, jest wielkim przecudnym o-
[brazem
Którego Bóg malarzem, tłem jego świat cały,
Przedmiotem, człowiek w walce, raz wielki raz
[mały,
Pyszny wolą lub czynem: lecz tylko Pan słońca,
Pewien tego obrazu początku i końca.
Całość, to rzemieślnicy, w pośród gospodarzy,
Codzień im się robota i to pilna darzy.

N.

(Znaczenie przeszłéj szarady, **Kitaje**).

Nowości Zagraniczne.

Musée des familles. W tym roku najmodniejsze fulary w deseń turecki, chiński, egipski i zupełnie gładkie szczególniéj też w kolorze białym do strojnego ubrania. Suknie białe coraz więcéj się upo-

wszechniają robią je, z kaszmiru, moheru, fularu, muszlinu i gazy. Do częstego użycia suknie z *poil de chèvre*, moheru i fularu noszą z paltotami z tego samego materjału co suknia, bez rękawów, wygarnirowane tylko przy pasze. W pokoju widzieć się dają ubrania długie, powłóczyste, na ulicy zaś wszystkie suknie ściągnięte w festony na ładnych spódniczkach. Zamiast maszynerji ze sznurków, wymyślono nowy rodzaj pinek z materji sukni, które utrzymują spódnicę w jednakowéj, foremnéj draperji. Suknie krótkie, wązkie i splamione łatwo przydłużyć, rozszerzyć i odświeżyć. Tak np. suknie krótką lub zniszczoną u dołu wyciąć w zęby okrągłe, z pod których daje się falbankę odmiennego koloru płasko przyszytą gdzie zęby przypadają, fałdowaną gdzie wykrój. Do sukien wązkich lub splamionych najlepiéj wstawić przedni bryt *en tablier* z materji stosownéj. Naprzykład suknia jest gładka, bryt przedni może być nawet w paseczki, byle kolor taki znajdował się w sukni. Jeżeli suknia w pasy, przedni bryt może być gładki, trzeba tylko dać ruszę nad obrębem spódnicy, wzniesioną po bokach aż do stanu, lub wstawkę koronkową. Opiszemy tu niektóre całkowite ubrania dziecinne. Spódniczka z popeliny fijołkowéj w krateczkę z wąziuchną falbanką u dołu, wszyta w pasek szwajcarski od którego przechodzą szelki na półbatystowéj koszulce w drobne zakładki. Druga sukienka z piki szamoa, spódniczka fałdowana przyszyta do paska szwajcarskiego z bawetem na przodzie, kaftaniczek krótki zaokrąglony z przodu. Całe ubranie przystrojone białą bawełnianą torsadą. Inna znów sukienka z białego *poil de chèvre* w niebieskie paseczki miała u dołu naszyte zęby z falbanki, które się na krzyż zakładały, znacznie zwężone w tych miejscach gdzie jedne zachodziły na drugie. Staniczek gładki pod szyję bez bawetu zapięty z przodu na guziki. Rękawy prawie obcisłe. Kaszkieciki żokiejskie i toczki okrągłe przybrane niebieskim, pąsowym lub czarnym aksamitem uzupełniają zwykle ubranie dziecinne. Buciki noszą wysokie koloru sukni.

Opis ryciny.

Figura 1. *Ubranie do wód.* Suknia blado popielata moherowa wyszytą u dołu fijołkową pletnią w grecki deseń, pomiędzy zębami rozetki naszyte sutaszem fijołkowym. Paletocik podobnie wyszyty na przodach z otwartemi w górze klapkami. Pod nim koszulka półbatystowa i szwajcarski pasek fijołkowy. Z pod spódniczki podpiętéj, widać spódniczkę fijołkową z moheru z wąziuchną u dołu falbaneczką. Buciki safjanowe. Kapelusik ryżowy z piórami strusiemi i kitką, spód ronda podgarnirowany wstążeczką.

Figura 2. Suknia z *poil de chèvre* w drobne paski. U dołu spódniczki dwie plisy z materji szkockiéj obszyte z każdéj strony koroneczką czarną. Stanik gładki przewiązany szarfą z długiemi spadającemi na tył końcami. Kapturek *la Valière* z kaszmiru szafirowego, obszyty frendzlą sznelowa z paciorkami z lawy.

KORRESPONDENCJA.

Pani Klemen. Mikla. Do pana Tonnesá nadeszły burnusy flanelkowe szafirowe, fijołkowe i pąsowe w paski czarne lub białe od Złp. 166 gr. 20 do złp. 200 znajduje się tam również wybór paltotów surdutowych fałdowanych z tyłu, w granatowym i czarnym kolorze od 200 do 250 złp.—Pani Jadwidze Nie. Paltoty bynajmniéj nie wyszły z mody noszą je wcinane do figury i wolno puszczone z pelerynką lub bez takowéj. Kaftaniczek sukienny dla młodéj osoby może być krótki i zaokrąglony z przodu, z karoczkiem na plecach. Noszą także kaftaniki marynarskie z kolorowéj flanelki lub korciku zupełnie wolne. Doskonałe są paltociki krótkie z ciepłego sukna z dużemi guzikami czworograniastemi z lawy, zarówno noszone na ulicy i w domu po złp. 166 gr. 20.— Pani Józe. Klima. Ubiorek z kwiatkami paryzkiemi kosztuje złp. 46. Girlanda ślubna z bukiecikiem z takichże kwiatów wynosi od złp. 50 do 100. Do girland takich wchodzi kwiat pomarańczowy, narcyzy, róże białe, bez lub inne jakie drobne kwiatki. Welon powinien być z szerokiéj trzy łokciowéj illuzji gładko u dołu obrębiony. — Pani Walerji Kozło. Walansienka prawdziwa przy kołnierzykach płóciennych podwyższa znacznie ich wartość, garnitur taki haftowany kosztuje od złp. 30 do złp. 40. Fasony najświeższych kołnierzyków z mankietami umieszczone są na każdym arkuszu z deseniami. Pani Joan. Trze. Przepisy kuchenne w krótce umieszczone będą w Tygodniku naszym. — Pani Ste. Rewień. Próbki włóczki angorowéj przesłaliśmy, starać się będziemy zadowolić szanowną panią we wszystkich Jéj żądaniach, za życzliwość serdecznie dziękujemy. Pani Marji Jankow. Próbki i żądany adres posłaliśmy. Panu Mikołajowi Krajew. Sprawunki w tych dniach odeszły.— Pani Lu. Bolce. Tygodnik wysyłamy do Kowna.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Warszawa dnia 10 Września 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Dziwny był nasz stosunek z sobą, przywiązałem się do niéj gorąco ale chyba po bratersku, szanowałem ją jak powierzone mi dziecię, a strzegłem zazdrośnie. Widziałem że była mi wdzięczną, ale nieokazywała mi nigdy czulszego uczucia, była ze mną tak chłodną, tak spokojną, tak uśmiechniętą, że wcaleśmy nie byli podobni do dwojga kochanków, choć nas o to posądzano.

Gretchen, gdy ją te wieści dochodziły, marszczyła brwi i ruszała ramionami jakby obrażona. Zachwyceni coraz żywiéj rozwijającą się jéj pięknością, rzeźbiarze, profesorowie akademij, wiedząc że mi za wzór służyła, starali się ją namówić, aby pozwoliła się modelować odmówiła prawie z gniewem. Warunki były bardzo korzystne, niechciała o nich słuchać nawet. Czas zbywający od nauki obracała na małe robótki z których przy pomocy mojéj utrzymywała się ubogo, oszczędnie bardzo, ale zaręczając mi że jéj jest bardzo dobrze. Najęła sobie w tym domu w którym stałem izdebkę na poddaszu i urządziła tak, że z nędznego kątka, stała się prawie wesołém gniazdkiem.

Rzadko kiedy tam zachodziłem, unikając plotek o które ona niedbała, ale mi one były przykre. Rano zbiegała ze swych wschodków jak ptaszyna do mej pracowni aby w niéj zrobić porządek,.. co często nie było łatwém. Dopomagała jéj stara Hausfrau, obie robiły dla mnie kawę, którą często pijaliśmy razem z nią i ze staruszką, potém z koszyczkiem w ręku szła do szkoły, a wieczór po dniu pracy, gdy nie było nikogo, o szarym mroku szczebiotanie jéj rozpromieniło mi parę godzin, które bym smutno przepędził na rozmyślaniu lub w bawarij. Rozmowy nasze były jakby głośném myśleniem, w którém nieraz umysł jéj podziwiać mi przyszło.

Mimo żem jéj właściwie rzec mogę, nie kochał, lub kochał raczéj sam o tém niewiedząc, miłością czystą i spokojną, było nam z nią dobrze jak w niebie i te dnie mojego życia, zawsze mi świecić będą jak gwiazda mojego poranku niezmazanéj czystości.

Gretchen smutniała wszakże, więdła widocznie, musiałem potajemnie sprowadzić doktora, który nic niepowiedział stanowczego, nie nastraszył bardzo, ale przepisał różne leki dla biednego ciała, nie wiedziałem, nie mogłem się domyśléć że serce było chore.

I jednego wieczora kaszlnęła w chusteczkę, chowając przedemną piérwszą krew, ze zranionéj już piersi...

W parę miesięcy potém leżała w ubogiém łóżeczku uśmiechając się do wiosny, marząc o zdrowiu, gdy dni jéj już były policzone.

A potém miała jakby nagłe przeczucie śmierci przedwczesnéj i powiedziała mi gdzie był grób jéj rodziców, na cmentarzu za miastem, abym ją tam, przy nich pochować kazał.

— Nie żałuję życia, szepnęła mi ostatniego wieczora, tak mi było na świecie dobrze,

pójdę ze świata nie skosztowawszy jego goryczy. Starzejąc człowiek się psuje, dziwacznieje, usycha życie robi się chłodne i niesmaczne... a tak... A! było mi tak dobrze... Ale mi żal ciebie bracie Hermannie, tobie trochę, trochę będzie może po mnie tęskno.. ty pożałujesz siostry, dla któréj byłeś tak dobrym bratem. Zarzuciła mi ręce na szyję i na czole uczułem gorący jéj pocałunek, był on dla mnie niemém objawieniem uczucia, które się i w mojéj obudziło piersi. Łzy mi się rzuciły z oczów, serce rozdarło... nie mówiliśmy więcéj, dusze się zrozumiały, ale nazajutrz jéj duch uleciał, a skrzepłe zwłoki biednéj dzieweczki pochowaliśmy całe kwiatami okryte, w ubogiéj trumience, przy grobie rodziców u których nóg spoczywać chciała. Była ich godną, czystą i świętą.

Spauer westchnął, otarł oczy i poszedł powoli do okna.

Długie milczenie panowało w sali, opis ten przejął wszystkich, poszanowano boleść z jaką ten człowiek dobył go z piersi, nikt się odezwać nie śmiał.

— Prześliczna sielanka, rzekł Vice-hrabia, Ludwik Richter by ją wyillustrować potrafił cudownie, ale czas ubiega, kto z państwa łaskaw..?

— Noc późna! zawołała Mumja.

— Przesiedziemy noc, odpowiedział Sestini, któż by z nas snu żałował, gdy żyć może i w nowe dla siebie wędrować światy?

Pargaminowy ruszył ramionami tylko, a Spauer rzekł:

— Darujcie mi państwo że weselszéj bajki niemiałem, kłamać bym niepotrafił aby zbyt rażącego po mojéj powieści nie było kontrastu, kolego malarzu ty mów.

Jacek Przeręba zarumienił się mocno, ale nie wymawiał, spuścił oczy zbierając myśli.

— Po synu pracowitego wieśniaka, syn rzemieślnika koléj właściwa, ale smutno mi że nie wiele z życia mojego dla was wydobyć potrafię.

Zacząłem naturalnie od rysowania człowieczków na klassowych zeszytach i karykatur panów profesorów, powołanie objawiło się gwałtownie choć nic go nie obudzało w naszym domu. Ojciec mój jest ślusarzem, a ślusarstwo dzisiaj nie ma żadnego ze sztuką związku, choć dawniéj go miało. Wszystkie te piękne wyroby z żelaza zastąpiły dziś pospolite odlewy. Ojciec, człek zacny ale prosty, matka najlepsza z matek, nie mogli pojąć nawet aby się dziecko czuło pociągniętém gwałtowniéj do jednéj pracy jakiejś i do niéj zdolniejszém, miałem więc wiele do przecierpienia nim zezwolili na to aby ze szkoły wyszedłszy kształcił się na malarza. W kraju naszym nie wiele téż znalazłem po temu środków. Pomnę wielkiego jednego pana, najgodniejszego człowieka, którego opiece mnie polecono, bo rodzice byli ubodzy bardzo, a który mi na wstępie powiedział: kraj ubogi, artystów mamy aż do zbytku, sztuka u nas nie jest jeszcze potrzebą, trudno by wyżyć potrafiła. Zrazu nie wchodziłem głęboko w znaczenie tych wyrazów, dziś widzę jak fałszywe niosły z sobą pojęcie. Nie ma tak ubogiego kraju który by powołany się czując do sztuki, na podtrzymanie jéj nie starczył, bo sztuka nie jest rzeczą zbytkowną, jest objawem pewnego usposobienia w narodzie, którego zapierać nie godzi się. Może być brak chleba, a jednak pójdą ludzie malować gdy im duch każe być artystami.

Obok pojęć tak surowych jak owego magnata któregom wymienił, objawiała się w kraju z innego źródła pochodząca niechęć ku sztukom, w chwili kwaśnego usposobienia podobało się świetnemu paradoxalnemu pisarzowi rzucić na nie klątwę, jako na środki wycieńczające, niweczące naród i odbierające mu energję. Przypomnienie Platona i potrzeba popisu z myślą któréj objawienie mogło być sympatyczne przez formę w jakiéj na świat wychodziła, natchnęły pisarza, była chwila że wielu istotnie uwierzyło temu dziwactwu człowieka, któremu szło nie tyle o rzecz, jak o orygi-

nalność pomysłu i popis za świetną elokubracją! Właśnie w tym czasie tak u nas nieprzyjaznym sztukom i sztuce przyszło mi się wyrabiać na artystę o własnych siłach. Przyznać też muszę że jaśniéj dziś widząc horyzonty, które sztuka roztacza w piérwszych dniach życia, szedłem ku nim raczéj instynktowo niż z wiedzą pełną o ich obszarze, jak Kolumb płynąłem do Ameryki szukając Jndij. Serce mi mówiło, tam cel twojego życia... ale mi się dopiéro późniéj stopniowo miał rozjaśnić.

Nie byłem tak szczęśliwy jak towarzysz mój Hermann by mi ktoś do razu jasno powiedział, podnoś duszę a ręka jéj będzie posłuszną, pracowałem nad ręką, prawie nie myśląc o duszy. Ale i tą drogą trudniejszą, mozolniejszą, dojść można do czegóś, ręka u mnie rozwijała powolnie ducha. Powtarzając nieudolnie utwory cudze, myślałem nad tém jak one stworzone być mogły i trafiłem na drogę, począłem się uczyć, czytać, a wielkie pragnienie zostania artystą, zrobiło ze mnie tego ubogiego wędrowca, który dziś idzie o kiju szukać piękna, aby niém duszę napoić.

Jestem na drodze, nie doszedłem do celu, nic wam nie powiem o sobie, panowie i panie, to co bym mógł powiedzieć nie da się zamknąć w kilku słowach, a historja walki z ubóstwem i niewiadomością jest nadto straszną, i nadto maluczką, abyście słuchać jéj chcieli. Historja natchnienia o głodzie! wzbudziła by w was litość tylko, lub obrzydzenie... więc dosyć.

Są zresztą rzeczy, dodał Przeręba ciszéj, których wywieszać się nie godzi przed oczyma profanów... obudziły by śmiech choć zrodziły łzy krwawe.

Nikt nie śmiał nalegać na ubogiego chłopaka który z dumą obwinął się milczeniem i spuścił głowę na piersi.

— Panie Sestini, rzekł garbus, ponieważ jesteśmy w świecie sztuki, na pana koléj lub na piękną towarzyszkę jego.

— To wszystko jedno, przerwała Julja, nasza historja od dzieciństwa jest wspólną, krótką i mało zajmującą... są to dzieje ludzi szczęśliwych a ludzie i narody szczęśliwe, nie mają historij, jak wiecie.

— Ale jeźli tak jedni, pod pozorem szczęścia, drudzy pod pozorem niedoli, będziemy się wyłamywali, w końcu zamilkniem wszyscy, rzekł żywo Vicomte de la Meilleraie...

— Ja, odpowiedział Sestini, wcale się nie wymawiam, z góry tylko Julja i ja przeprosić musiemy, że ubodzy w wypadki zajmującego nic wam nie przyniesiemy. Kto z panów jechał na Chiavari?

— My, odparł Anglik gospodarz.

— To nasze miejsce rodzinne, kończył malarz..... a biednemu pejzażyście w śliczniejszém położeniu urodzić się było trudno. Nad temi brzegami podziemnego morza biegając swobodny od Genui do Pizy chłopięciem jeszcze, przepoiłem się widokami morza, gór, niebios i włoskiéj naszéj natury. Nieraz w dzieciństwie siadałem gdzie na skale nad cichą zatoką i całemi dniami wlepiałem oczy w zmieniające się panorama, na którém grały światła coraz różne, coraz dziwniejsze, myślałem tylko o tém jakby tą żywą naturę, to morze ruchawe pochwycić z całą myślą, którą Bóg w jego oblicze włożył. Kto zna ten kraju włoskiego kawałek, tak uroczy, cichy, śliczny, bogaty w różne obrazy, pojmie jaka rozpacz ogarniała mnie na widok cudów których utworzenie zdawało mi się przechodzić siły ludzkie. We Włoszech sztuka jest we krwi pokoleń, w tradycij wieków, mimo nieszczęść jakim kraj ulegał, żył zaś nią zawsze więcéj może niż innemi żywioły... W chwili najgorętszych wojen domowych wielcy mistrzowie leli posągi, budowniczowie wznosili świątynie i pałace, sztuka nie stawała na drodze żywotowi politycznemu, podpierała go przynosząc jednym ogniem więcéj do wszystkich ogni jakiemi gorzała Italja, utrzymywała w niéj życie, a gdy się ono inaczéj jak przez nią objawiać nie mogło, świadczyła żeśmy nie

umarli. Późniéj może da się chyba ocenić rola wielka sztuki w odrodzeniu narodu, wszystko co szlachetniejszego w nim istniało, lało się tym strumieniem użyzniającym, nigdyśmy nie mieli Potlerów i Teniersów bo spokoju nie znaliśmy, a malarze dziejowi i religijni, nawet portrety stare tradycją wielkich idei uwieczniali. Nie zmiękły Włochy uprawjając sztukę. Ale po cóż mam mówić dłużéj o tém?

Małem chłopięciem rozkochałem się w naturze: ojciec mój był właścicielem kilku rybackich większych statków, czas swój spędzał na wyprawach morskich, matka gospodarzyła spoglądając na sine wody po których on pływał; jam się z jéj tęsknemi oczyma, po morzu błąkać nauczył, piérwsze nasionka sztuki rozsiane są po całéj ziemi naszéj, łatwo tu zażądać zostać artystą, dzieła nawet najpospolitsze noszą na sobie piętno wielkich tradycij. Ale mnie dusza ciągnęła ku temu właśnie rodzajowi, który najmniéj był uprawiany...

Szukałem napróżno obrazów morza i natury, te które spotykałem były niedołężnemi ogólnikami, dzieckiem jeszcze wpadałem do Muzeów w Pizie, do kościołów, nigdzie tego o czém marzyłem znaleść nie mogłem. A zdawało mi się że morze, skały, niebiosa tak dobrze mówią o Bogu i człowieku, jak posągi, jak twarze... jak dziejowe wielkie obrazy, zdawało mi się iż bez natury pojąć całkowicie niepodobna jéj mieszkania i króla. Zarazem z Julją napawaliśmy się widokiem fali, ruchu morza i niemych skał o które rozbijały się bałwany pieniące. Ona była piérwszą powiernicą moich myśli i nie śmiała się ze mnie, gdym zapragnął schwycić niepochwycone... życie w naturze. To zachcenie gorące rozbiło się o piérwsze próby niedołężne. Ołówek mój chwytał rysy, ale martwo je powtarzał, poczułem że bez barw niema krajobrazu.

Męczyłem się długo, szukając wzorów i niemogąc ich znaleść. Muzea pełne były ludzi, natury nie było nigdzie, opuściła ją sztuka lekceważąc lub rozpaczając by jéj potęgę, wielkość i życie opanować potrafiła. Dniem dla mnie pamiętnym będzie ten, w którym u brzegu morza około Genui spotkałem się z podróżnym średniego wieku niosącym z sobą pudełko malarskie, przeczuciem poszedłem za jego śladami, uczepiłem się go natrętnie, ofiarowałem mu się ulżyć ciężaru. Szukał widocznie miejsca na krajobraz, znalazł go i w moich oczach przygotowawszy kawał kartonu naszkicował cudownie owe morze i brzegi których odtworzenie dotąd zdawało mi się niepodobieństwem, ten maleńki obrazek był dla mnie objawieniem. W zapale, zachwycie pobiegłem za nim do Specij ciągle się przypatrując, starając podchwycić tajemnicę. Był to zacny artysta, który ani się śmiał z mojego nieuctwa, ani gardził chłopięciem, jemu winienem piérwsze pojęcie trudności mojego zawodu.

Walczyłem z niemi mozolnie, walczę jeszcze... Mógłbym tu powtórzyć co tak dobrze wyraził towarzysz mój w sztuce, który mnie poprzedził z zajmującą powieścią o swém życiu, nie rękę ale ducha kształcić potrzeba przedewszystkiém. Umiałem już dobrze przekopjować krajobraz, alem go stworzyć nie potrafił jeszcze, do tego potrzeba było znać wszystko co wchodzi do wielkiego wizerunku natury: powietrze, światło, siły przyrody, processa życia, tajemnicę świata Bożego. Nie zastąpi tu nauki nawet genjusz.

Ta historja mojego kształcenia się jest dla was za jednostajną, a była by dużo za długą, gdybym ją chciał opowiadać ze szczegółami. Dzieje mojego serca są całe w niéj.

Tu wskazał na prześliczną Włoszkę spoglądającą nań z uczuciem serdecznego przywiązania.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

nro: 37.